ROK CZWARTY.

№ 12.

WARSZAWA

D. 8(20) Marca

1859.

Niedziela

2ga postu.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

*„Racz*éj *zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.‘* (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, ty widzisz, iż z nas samych żadnéj cnoty uczynić nie zdołamy, racz więc zewnętrznie i wewnętrznie nas wspomagać, iżbyśmy od wszelkich przeciwności przechowani byli na ciele, a od złych pomysłów oczyszczeni zostali na duszy. (Kollekta na Niedzielę 2 postu).

Modlitwa.

Na dzień Zwiastowania N. M. Panny.

—

Święta przyczyno naszego zbawienia,
Któréj opieka prostym sercom sprzyja,
Racz przyjąć chętnie nasze pozdrowienia,
Jak niegdyś Boskie: *O zdrowaś Maryja!*
Ty, co nas kochasz tkliwem sercem matki,
Gdy nas cierpienie okryje żałobą,
Promieniem łaski oświeć twoje dziatki,
Boś *łaski pełna* i zawsze *Pan z Tobą.*
Panno bez zmazy! niech twoim przykładem
Wzgardziwszy próżność, która serce mami,
Wszystkie niewiasty dążą twoim śladem:
Błogosławionaś między niewiastami;
Spraw, by na ziemi kwitł pokój i cnota,
A w sercach naszych grzech został wzgardzony,
By *Jezus, owoc twojego żywota,*
Ludzkiemi czyny był błogosławiony.
A jeśli wina serca nasze splami,
Skoro żal ujrzysz za nasze złe czyny,
O! Matko Boża! Ty *módl się za nami*
Teraz i w zgonu naszego godziny.

Kmiotkowie na dzierżawie.

Wieś Wolice, o któréj mówić chcemy, należała do dóbr rządowych i od niepamiętnych czasów była w rękach dzierżawców. Pan Paweł, który teraz w niéj mieszkał, trzymał ją już lat dziewięć, a dostał po ojcu, który rządny i oszczędny, z małego majątku znacznych się tam dorobił pieniędzy. Ale poczciwe ojczysko sam używszy biedy, chciał dzieciom żywot przyjemniejszym uczynić, niepomny, że nie zawadzi młodemu, a owszem pójdzie mu na korzyść, kiedy u wstępu życie idzie mu

trocha po grudzie, a dopiero z czasem jego własnemi staraniami i pracą na lepsze się obraca. Może też zresztą i staremu trochę przewróciło się w głowie, jak sobie kupił karetę i zaczęto go nazywać jaśnie wielmożnym, dosyć, że oddawszy dzieci na naukę do Warszawy z myślą, że co najdroższe, to najlepsze, wielkie na tę edukacyę wyrzucił pieniądze, choć Boże odpuść! niewielki z tego został pożytek, bo dzieci jego wdawszy się w złe towarzystwo, powróciły do rodzicielskiego domu z głowami poprzewracanemi zbytkiem i rozumiejąc, że ten tylko szczęśliwy, kto bogaty, narzekały jeszcze, że im ojciec nie da wielkiego majątku. Jednak nieszczęsny ojciec wcale dostatnio wyposażył córki, starszemu synowi kupił wioskę, młodszemu zaś Pawłowi dzierżawę Wolic przekazał, dzierżawę, co starczyła za niejedno dziedzictwo; a gdy umierał staruszek, pan Paweł tylko co się był ożenił z panną, która uchodziła za posażną. Zajeżdżając do takiej panny w konkury, Paweł musiał się przecie panem nielada pokazać; więc na to zaraz wysypał się grosz niemały, zrobiły się nawet jakieś dłużki, które posag przyszłej żony miał spłacić. A znowu rodzice panny wydając córkę za tak bogatego jak mniemali kawalera, który za lada co dukatami sypał, chcieli się też nieostatnio pokazać; częstowali suto, stroili córkę, a na wyprawę do mężowskiego domu nakupowali jej różnych drogich szmat tyle, że byłoby czem dwanaście kobiet wystroić. Tyle też na to wszystko wydali pieniędzy, że gdy przyszło mówić o posagu, pokazał się on bardzo mały. Skrzywił się trochę pan młody, ale nie było rady; zabrał tedy żonę i kufry z jej rupieciami do domu, a tam ona się znowu obejrzała i spostrzegła, że bogactwo nie takie, o jakiem mówiono. Oboje oszukani spojrzeli na siebie zukosa i zamiast coby zrzuciwszy pychę z serca, wziąć się szczerze do pracy i pilnować swego dobytku, podawnemu jedno udawało pana, a drugie stroiło się i próżnowało. Przyszło do tego, że nie wypłacającemu się Pawłowi dzierżawę odebrano i ogłoszono licytacyę, to jest, że dobra Wolice puszczone będą temu, kto da więcej i lepszą rękojmię rzetelności przedstawi.

W dniu tym, który się tak smutno we dworze Wolickim rozpoczął, kilku gospodarzy siedziało za stołem w karczmie popijając piwko i paląc fajeczki, bo już ten niemiecki obyczaj zakradł się do Wolic; niemieckie też mędrkowania połączone z mazurskiemi żartami słychać było od tego i owego. Jeden tylko staruszek z białą jak śnieg głową, który jeszcze razem z nieboszczykiem panem do Wolic nastał, westchnął żałośnie nad dolą jego syna i rzekł:

— Poczciwy to ród, niema co mówić. Poratowali zawsze człowieka w nieszczęściu, to radą, to lekarstwem w chorobie, to pieniędzmi na podatek; Bogiem a prawdą rzekłszy, niejeden z nas przez nich na nogi stanął.

A drudzy zaraz na to:

— Ba, ba! żeby się człowiek sam nie gramolił, toby go pewno dwór nie postawił na nogach.

Inny rzekł:

— Zawsze to pan chudziaka rad obskubać, kiedy może.

Trzeci dorzucił:

— Któż mu winien, że się włóczył po zagranicach, a żonę stroił gdyby jaką księżnę?— niech teraz w palce chucha.

Wszyscy, co mówili, byli właśnie najwięcej winni dworowi, bo pan był nieraz dla nich prawdziwym dobrodziejem. Temu darował parę wołów, gdy mu bydło zdechło, za tamtego zapłacił dwieście złotych w szpitalu i tem wyratował od niechybnej śmierci, innemu dał rzemiosło i chleb w rękę, oddając go na naukę do cieśli. Lecz już to taka niepoczciwa ludzka natura, że dobre łatwo zapomina, a złe, choć często mimowolne, chowa w pamięci. Dlatego też kto umié być wdzięcznym, śmiało o nim powiedzieć można, że jest człowiek poczciwego serca i żyje z Bogiem w zgodzie.

Wtem nadeszła do męża swojego, młoda jedna gospodyni, pytając:

— A o czemże to radzicie?

Gdy jej powiedziano, dołożyła także swoje:

— Dobrzy ludziska, niema co mówić. Sama Pani, niech jej Pan Bóg daje na dzieciach pociechę, uratowała mi Grzesia od śmierci.

— I mnieć straciła febrę tamtej wiosny, odezwał się któryś z kąta, co dotąd milczał; ale on, to niechże go!... Jaki zacięty, jak się uwziął łapać moje konie w szkodzie, tak nie wypuścił, aż się opłacić musiałem.

Na to staruszek z białą głową aż się wstrząsł i zawołał głośniej:

— Toż wam jeszcze krzywda Maćku, żeście mu połowę koniczyny spaśli i stratowali?

Drudzy w śmiech:

— Prawdę mówi stary Szymek, jak Bóg w Niebie; pan z tej koniczyny niewiele miał pociechy, tylko że to na pańską stratę to się i nie zważa, i nie leży ona na sumieniu, bo pan panem zawsze będzie, rzekł Antek.

—Zmarnieją oni teraz niebożęta, odezwała się jedna z kobiet, wzdychając. Wszystko im pozabierali, jedną bryką z Wolic wyjadą.

—Gdybym miał takie pieniądze, jak Antek Swierszczuk, który pod ich rządami urósł w pierze, tobym im zaraz poniósł i powiedział: Ratujcie się, jak możecie, oddacie mi, skoro wam Pan Bóg pobłogosławi. I mówiąc to stary Szymek, otarł łzę rękawem.

Lecz Antek Swierszczuk powstał z gniewem na niego:

— Co to ja mam pieniądze, kto je widział, kto mi je dał, co komu do tego?... Ma człek, bo pracuje i nie dośpi i nie doje, żeby przecież był dla dzieciaków kęs chleba w chacie. A to furmanowanie, co po prawdzie trochę grosza napędza do kieszeni, mało mi to zjadło zdrowia, hę? Konie to moje zarabiają i kości moje już całkiem roztłuczone.

— Jakiego my też tu znowu pana dostaniemy? mówiły kobiety, przepijając do siebie.

— Po co nam pana, zawołał Maciek, po to, żeby nam tylko biedę piekł? panowie sobie, a my sobie.

— No i cóż z tego kumie, odpowiedział mu Antek, trzeba będzie dlatego tę biedę cierpieć i dalej się garnąć jak Bóg da.

— A gdyby my sami opłacili dzierżawę?

— Bój się Boga człowiecze, co ty mówisz? zawołał Antek Swierszczuk, gdzieżbyśmy temu podołali?..

Zeszło się jeszcze więcej gospodarzy do karczmy, jęli kiwać głowami, radzić, myśleć, dogadywać i stanęło na tem, że w dziesięciu się złożą, a skoro tylko im pozwolą, wezmą Wolice w dzierżawę i sami rządzić się będą. Byli to wszystko ludzie dostatni, mieli dobre konie i niemi dużo zarabiali. A była też okolica po temu, i ziemia taka, co to nigdy nie chybi, i w najgorsze lata urodzi średnio.

Wszystko im po myśli poszło. Skoro złożyli wymagane dla pewności pieniądze, czyli tak nazwaną kaucyę, i mieli jeszcze na zapłacenie raty dzierżawnej, przypuszczono ich do licytacyi; oni też przez chciwość, żeby ich kto nie uprzedził i obiecując sobie z tego interesu złote góry, podbijali tak wysoko, że nareszcie sami przybili, bo każdy widział, że trzebaby zginąć ze szczętem, chcąc taką summę zapłacić. Cała tedy gromada podpisała się jak kto umiał na kontrakcie dzierżawnym. A było radości co niemiara! Podcięli sobie w karczmie z wielkiego uweselenia, i kiedy pan Paweł przejeżdżał przez wieś wraz z rodziną, mało kto ściągnął rękę do kapelusza, żeby go pożegnać, a tylko mówili jedni do drugich:

No co kumie? dobrze będzie, bo nie będzie pana.

Zaczęli tedy sami gospodarować od Sgo Jana. Z łąkami poszło jeszcze dobrze, bo pogoda była piękna, trawy rosłe i co żyło, ruszyło się do sianożęcia, Zebrali, postożyli, aż oto i zboże dojrzałe woła do żniwa. Tu już poczęła się różność zdania. Ten chce zaczynać żyto od lasu, ten radzi, żeby najpierw zeżąć ode wsi. Bartek powiada, że chory i na robotę wyjść nie może, Matusiak twierdzi, że drudzy nic nie robią, a tylko na niego zwalają cały ciężar pracy. Gdy się tak spierają i umawiają, zboże tymczasem się sypie i na pniu porasta. Im dalej, tem coraz większy nieład i większa niezgoda. Pokazało się przy końcu roku gospodarskiego, że nietylko nic nie zarobili, ale stracili, bo zdarzyło się jeszcze, że przy przedaży pszenicy, gdy nie umieli przeliczyć tak znacznych pieniędzy, oszukali ich żydzi. Od drugiego więc Sgo Jana naskrobawszy się w głowę i namędrkowawszy, obrali na naczelnego rządzcę jednego z pomiędzy siebie, a był nim Antek Swierszczuk, najrządniejszy we wsi gospodarz, który miał dwadzieścia kilka sztuk bydła, i cztery konie; a dorobili się oboje z żoną z małego, tylko że zabiegliwi oboje, jak sobie nie dawali wytchnienia i odpoczynku, tak też i czeladzi swojej i wyrobnikom, co u nich pracowali. Ale że mienie ich rosło w oczach prawie, na podziw jednych a zazdrość drugich, więc zdawało się, że nie można lepszego uczynić wyboru i że pod jego kierunkiem gospodarstwo w Wolicach pójdzie zupełnie inaczej. Zaczął tedy

Antek rządy swoje naprzód od tego, że sobie sprawił bat. Lecz niedosyć, że go sprawił i nosił ciągle za pasem, ale jeszcze nie żałował, jeno tęgo smarował nim po plecach każdego, co się w robocie opóźnił. Powstał krzyk i narzekania, lecz nic nie zważając Antek, poganiał dalej do pracy, sam dając przykład z siebie, wymagając jednak coraz to więcej uszanowania, wbijając się, jak to tam nazywano, *w ambit.* Trudna to bowiem rzecz rozkazywać i niejednemu zaraz zawróci się głowa. Swierszczuk naprzód przezwał się Swierszczukowskim, jakby to zakończenie nazwiska na *ski* miało go podnieść na wartości, potem pod pozorem, że mu ciasno w chacie i że chce być bliżej gumien, przeniósł się na mieszkanie do jednego z dworskich budynków. A co już jego jejmość, to i miary nie znała w pretensyach swoich, przyodziewała się codzień w najpiękniejsze chusty, a chciwość jej lubo zawsze wielka, odmienna była, bo już sama nie zrywała się do roboty o północku, tylko napędzała drugich z wielką złością i fukaniem, a gdy która gospodyni miała do niej choćby najmniejszy interes, nie mogła się pokazać bez podarku. Dopieroż to wzdychały teraz kobieciny, kiedy Antkowa nawymyślała na nie za lada co, a *tykała* wszystkie po imieniu, i przypominały sobie, że jak we dworze mieszkali panowie z panów, to dali darmo i lekarstwo i na czapeczkę dla dziecka i cukru dla chorego, a zawsze przywitali słowem życzliwem, powiedzieli *pochwalonego* lub: jak się macie? Kobiety najpierwsze zaczęły głośno narzekać i mówić, że się głupstwo zrobiło. Mężczyzni jeszcze nadrabiali miną, ale kłótnie i bójki coraz to były częstsze; niektórzy grozili, że wszystko cisną i pójdą w świat, tak już im obmierzło to poganianie z ich własną szkodą; bo już było oczywiste, że Antek wcale nie był sumienny i wielki grosz dla siebie ciułał z krzywdą całej gromady. Nie doczekali więc drugiego Sgo Jana, a poszli wszyscy z prośbą, żeby komu innemu puszczoną była dzierżawa, bo oni zginą z kretesem i mieli to sobie za wielką łaskę i szczęście, kiedy im powiedziano, że nowa licytacya ogłoszoną zostanie.

Antek wyniosł się zaraz ze dworu, a nawet całkiem ze wsi i kupił sobie sporą cząstkę szlachecką, ale mu nie szło ręką, bo już to widać nie było w tem błogosławieństwa bożego i krzywda ludzka przeświecała z nowo zebranych dostatków. Do Wolic zaś nastał znowu pan Paweł, któremu ojciec żony dał pieniędzy na podźwignięcie się, a bieda, jakiej użył przez dwa lata, dała nauczkę, co w las nie poszła. Pod jego rządami i opieką lepiej znowu zaczęło się dziać tym, co już byli podupadli; starzy gospodarze opowiadali mu nieraz, jak to Antek Swierszczuk z nimi dokazywał, dodając, że niema narowniejszego stworzenia, jak człowiek, kiedy sobie cugli popuści i myśli, że wszystko może. Wtedy pan Paweł kładł przyjaźnie rękę na ich ramieniu i mówił: Widzicie dzieci, żeście nic nie zyskali na zmianie, ale owszem stracili; bo to już od wieków u nas życie szlachcica i kmiotka zrosło się w jedno ogniwo, jak życie ojca z dziećmi.

Dlaczegoż kmiotkowie owi upadli? zapyta niejeden sam siebie. Oto, że nie było między niemi zgody, ładu i rozumu, a tak pan jak chłopek, może się dobrze rządzić, byleby był kochający Boga i braci, miał rozum i nielenił się do pracy.

Filip de Girard (Żyrar).

Wynalazca przędzalni mechanicznej lnu.

—

Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, powiada stare nasze przysłowie; trafność zawartej w niem myśli, stwierdza między innemi życie Filipa Żyrarda, wynalazcy przędzalni mechanicznej i innych dzieł znakomitych. Człowiek ten poświęciwszy najpiękniejsze lata swego życia, majątek i wszystkie zdolności swego umysłu dla Francyi, widział się zmuszonym dla braku uznania, współczucia i zachęty, opuścić niewdzięczną ojczyznę i pomiędzy obcymi szukać współczucia i kawałka chleba, których mu właśni poskąpili rodacy.

Rys życia tego niepospolitego wynalazcy tem więcej obchodzić nas winien, iż znaczną część jego poświęcił przemysłowi naszemu. Przebywał on w kraju tutejszym przez lat przeszło ośmnaście i wiele chlubnych pamiątek po sobie zostawił; jednę z najtrwalszych jest bez wątpienia założona przez niego wielka przędzalnia i fabryka wyrobów lnianych o kilka mil od Warszawy, od jego

imienia *Żyrardowem* nazwana, i do dziś dnia przewodnicząca innym tego rodzaju zakładom fabrycznym w kraju, a nawet współzawodnicząca skutecznie z celniejszemi zagranicznemi, tak pod względem obfitości, jak i dobroci wyrobów swoich.

Ktokolwiek podróżował u nas koleją, nie mógł nie zwrócić uwagi, na wznoszące się okazałe gmachy w pobliżu stacyi Rudy Guzowskiej; wyniosłe kominy wybiegające w obłoki nakształt wież kościelnych, obszerne zabudowania murowane nadające osadzie pozór porządnego miasteczka, mile wpadają w oko, mniej u nas do podobnych widoków nawykłe. Jestto Żyrardów.

—

Filip Żyrar urodził się w r. 1776 we wsi Lurmarin, nad brzegami Diuronty, ze znakomitej szlacheckiej rodziny. Obdarzony z natury wielkiemi zdolnościami, obiecywał dzieckiem jeszcze będąc, stać się z czasem chlubą swego kraju.

Oddany na nauki w Marsylii, następnie zaś do uniwersytetu w Montpellier (Mąpellie) uczynił w nich zadziwiające postępy, kiedy nagle rewolucya r. 1789 zmusiła go opuścić wraz z rodziną kraj ojczysty, i udać się do Liworno, gdzie założył fabrykę mydła.

Odtąd przechodził on rozmaite koleje; korzystając z chwilowego uciszenia się zgubnych namiętności we Francyi, powrócił wraz z rodziną do ojczyzny i założył w Marsylii dwie fabryki; jednę sztucznej sody, drugą wyrobów chemicznych. Ale zaledwie kilka ubiegło miesięcy od chwili jak stanął na czele obu tych zakładów, które pod kierunkiem jego szybko rozwijać się zaczęły, kiedy wypadki zaszłe w Paryżu dnia 5 października 1795 roku zmusiły go do opuszczenia nanowo ojczyzny.

Wtedy udał się na Nicei, powołany tamże na profesora nauk przyrodzonych, mając zaledwie lat 20; ale niedługo i tu zagościł, jak tylko bowiem okazała się możność powrotu do kraju, tak zaraz wyjechał do Marsylii, dla objęcia nanowo zarządu swych zakładów.

Obok koniecznych zajęć dyrektora fabryk, oddał się Filip z zapałem nauce chemii i mechaniki; kilkoletnie prace jego na tem polu, nie zostały bezowocnemi. W r. 1806 posłał na wystawę przemysłową paryzką Lunetę achromatyczną, machinę parową ulepszoną o jednym cylindrze, lampę hidrostatyczną,(z ciężkomiarem) wynalezioną łącznie z bratem Fryderykiem, szkła matowe do lamp, będące dziś w powszechnem użyciu; dwa te ostatnie wynalazki spowodowały zupełną zmianę w sposobie oświetlania. Medal wielki złoty i drugi srebrny były nagrodą prac jego, przyznaną przez sędziów wystawy i towarzystwo francuzkie zachęty.

Pomimo tylu dokonanych dzieł, Żyrar nie spoczął, ale z podwyższonym zapałem, jaki obudza powodzenie jął się do nowych przedsięwzięć. Wpośród tych zajęć wpadł mu do ręki numer *Monitora* (dziennika urzędowego francuzkiego) z dnia 12 maja 1810 r. obejmujący dekret cesarza Napoleona Igo, przeznaczający nagrodę miliona franków (1,600,000 złp.) dla wynalazcy najlepszej maszyny do przędzenia lnu. Nigdy Żyrar nie zajmował się niczem, coby miało jakibądź związek ze lnem i przędzą, względ ten wszakże nie zatrzymał go ani na chwilę. Sława i milion stały mu przed oczyma i poruszały wszystkie jego władze umysłowe; dzień jeden i noc na zgłębianiu zadania spędzone, były dostatecznemi do stworzenia wynalazku w jego głowie. Rodzice jego pełni wiary w gieniusz syna pomagali mu do dzieła wszelkiemi siłami. Próby i doświadczenia wymagały znacznych nakładów; wyzuli się oni ochotnie ze swej własności, pozaciągali długi, rzucili na szalę losu byt całej rodziny, tak pewni byli pomyślnego skutku. I skutek nie zawiódł; w kilka miesięcy Filip wystawił pierwszą swą maszynę i pozyskał na nią patent wynalazku. Pragnąc wszakże dziełu swojemu nadać całą możliwą dokładność, poświęcił mu jeszcze dwa lata wytrwałej pracy, i dopiero w początkach roku 1813 urządził pierwszą swoję przędzalnię przy ulicy Mislay w Paryżu. Termin zamknięcia konkursu był oznaczony na dzień 7 maja t. r.; był więc w zupełnej gotowości, a do tego jedynym kandydatem do otrzymania przyrzeczonej nagrody miliona franków.

Tymczasem nadeszła była pamiętna kampania 1813 r.; przygotowania konkursowe czynione w konserwatorium sztuk i rzemiosł

musiały być przerwane. Filip zapominając wtedy o własnym interesie, na okrzyk trwogi zagrożonej ojczyzny porzuca swoje warsztaty i wysila umysł nad stworzeniem jakiej obronnej machiny. Jakoż udaje mu się wynaleść broń parową, wyrzucającą do 160 pocisków na minutę, zdolnych przebić o 20 kroków najgrubsze kirysy. Tak spłaciwszy dług obywatelski krajowi, powraca do swych przędzalni. Ale byłto czas najnieszczęśliwszy dla przemysłu; handel zamarł, a warsztaty tkackie ustały dla braku rąk i odbytu. Filip zaawanturowawszy całe swoje i swej rodziny mienie w nadziei pozyskania miliona, który go zawiódł, ujrzał się w najprzykszejszem położeniu, nie będąc nawet w stanie uczynić zadosyć poczynionym już zobowiązaniom. Wspólnemi siłami on i bracia jego chcieli się dźwignąć z upadku, ale wszelkie rachuby ich zawiodły. Wtedy Filip nie widząc innej rady, chwycił się myśli przypuszczenia do stowarzyszenia i tajemnicy wynalazku bogatych dwóch spekulantów, w nadziei, że przy pomocy zyskanych tą drogą kapitałów podźwignie upadające przedsięwzięcie. Ale chciwi ci ludzie i źli obywatele zamiast podać szlachetnie bratnią rękę nieszczęśliwemu współziomkowi, nadużyli niegodnie położonego w nich zaufania; dostawszy bowiem podstępnie plany, rysunki i opisy maszyn, takowe sobie przywłaszczyli i uciekli z niemi do Anglii, gdzie otrzymali patent wynalazku, oraz 25 tysięcy funtów szterlingów (przeszło milion złotych) w nagrodę tego niecnego czynu.

Cios ten dokonał ruiny Filipa; probował on jeszcze jednego środka, odwołania się do rządu; ale ten, co był wydał pamiętny ów dekret, nie był już cesarzem, rząd zaś, który po nim nastąpił, nie czuł się w obowiązku dotrzymania zobowiązań poprzedniego; tak nawet okazał się obojętnym na powodzenie i rozwój krajowego przemysłu, iż odmówił Żyrardowi zasiłku 8,000 franków, których ten był ostatecznie żądał.

Obojętność podobna boleśniejszą była dla Filipa, aniżeli utrata mienia; z rozdartem sercem opuszczał on kraj rodzinny, w którym doznał tyle trosk i zawodów, udając się do Wiednia, gdzie go usilnie wzywano. Wszakże pozostawił w Paryżu połowę swych maszyn, w nadziei, że zebranemi za granicą funduszami zdoła z czasem podźwignąć upadłe zakłady; myśl bowiem jego zwracała się ciągle ku dobru swych rodaków. Ale i ta nadzieja zawiedzioną wkrótce została, wszystko zdawało się dążyć do wywołania zupełnego rozbratu między nim a ojczyzną. Komissya wyznaczona przez rząd do ocenienia wynalazku Żyrarda potępiła jego maszyny, jako psujące materyał i nikczemny jedynie wydające produkt.

Wszakże maszyny potępione we Francyi okazały się doskonałemi w Austryi, a wieś Histenberg pod Wiedniem, stała się odrazu kwitnącą osadą i punktem środkowym przemysłu lnianego całych Niemiec. Austrya zawdzięcza nadto Żyrardowi budowę pierwszego statku parowego na Dunaju, który dał silny popęd rozwinięcia parowej żeglugi na tej rzece.

Nagły ten, a tak pomyślny rozwój przemysłu lnianego w Austryi zwrócił troskliwą uwagę rządu tutejszego na znakomitego wynalazcę. Ówczasowy minister skarbu książę Lubecki poznawszy bliżej Żyrarda w czasie kilkokrotnej bytności swej w Histenbergu, zapragnął zapewnić krajowi usługę tak pożytecznego człowieka. Tym celem za upoważnieniem księcia Namiestnika Królewskiego, Zajączka, zawarł z nim pod dniem 1 sierpnia 1825 r. umowę i powołał go bezwłocznie do Warszawy.

Wedle powyższej umowy Filip Żyrar otrzymywał stopień naczelnego mechanika wydziału górnictwa z płacą 30,000 złp. rocznie, oraz złp. 5,000 na utrzymanie koni; w razie wyjazdu za granicę z polecenia rządu, dyety po złp. 30 dziennie, niemniej zwrot kosztów podróży; w kraju połowę tych dyet. Obok tego złp. 18,000 ryczałtowo na koszta przeprowadzenia się z Wiednia do Warszawy; zapewnioną mu wreszcie została pensya emerytalna w stosuku złp. 10,000 rocznie, za każdy przesłużony rok, aż do wysokości 10,000 złp. po wysłużeniu lat 10 umową objętych.

Za przybyciem swem do Polski zajął się Żyrar czynnie reorganizacyą służby górniczej; huty były w stanie opłakanym, pracowano nad ich przekształceniem. W krótkim czasie wprowadził w tę gałęź służby znakomite reformy; obmyślił nowy system kół

hidraulicznych do machin wodą poruszanych, ulepszył piece do wytapiania cynku i udoskonalił walcownię blachy z tegoż metalu; dalej wybrał i sprowadził z Anglii potrzebne machiny i narzędzia, wreszcie urządził kolonię fabryczną, w której pod sterem doświadczonych majstrów i robotników angielskich kształciła się w tej gałęzi służby młodzież krajowa.

Oddanie przez rząd górnictwa Bankowi Polskiemu w roku 1833 spowodowało rozwiązanie zawartego z Żyrardem kontraktu; usługi jego wszakże nie były zapomniane i ukaz Najwyższy z dnia 20 marca (1 kwietnia) t. r. zapewnił mu pensyę emerytalną w summie 8,000 złp. rocznie do śmierci, z prawem pobierania takowej za granicą.

Wszelako Żyrar nie kwapił się z powrotem do Francyi; serdeczne przyjęcie, jakiego doświadczał w Polsce, okazywane mu współczucie i przyjaźń przywiązały go do nowej ojczyzny. Dlatego też przyjął chętnie uczynioną mu przez Bank Polski propozycyę wzięcia udziału w radzie nadzorczej górnictwa, z płacą po złp. 1,000 miesięcznie, przy zachowaniu pensyi emerytalnej.

Przeciąg lat przeszło ośmnastu, które Żyrard przepędził w Polsce, odznaczył się szeregiem znakomitych prac jego w dziedzinie przemysłu i wynalazków. Jemu pomiędzy innemi zawdzięcza górnictwo krajowe przyrząd do rozgrzewania powietrza za pomocą rur spłaszczonych, zastosowany do pieców fabrycznych, a oszczędzający znaczną ilość paliwa, nowy kształt ognisk w pudlingarniach, stawidło z regulatorem mechanicznym do oznaczania ilości wody potrzebnej do obracania kół wodnych, używane z korzyścią w zakładzie górniczym Niwka i t. p.

Oprócz tych prac odnoszących się do obowiązków jego urzędowania, zajął się czynnie założeniem na wielką skalę przędzalni mechanicznej i warsztatów tkackich w pobliżu Rudy Guzowskiej; wkrótce naokół wspaniałego gmachu fabryki zaczęły się wznosić coraz liczniej gustowne domy fabrykantów i rzemieślników, z czego utworzyła się porządna osada, którą od imienia i dla uczczenia zasług jej założyciela nazwano *Żyrardowem*. Czyż uczyniono kiedy tyle we Francyi dla francuza? odzywa się z goryczą pan Hektor Malot, autor życiorysu Żyrarda, skreślonego w języku francuzkim.

Ale nie tu koniec dzieł znakomitego wynalazcy — do tejże epoki prócz dzieł wspomnionych powyżej, oraz ulepszeń zaprowadzonych w przędzalni mechanicznej, odnoszą się jeszcze następujące wynalazki:

1mo. Maszyna do klepania i czyszczenia lnu, używana z wielką korzyścią na Litwie.

2do. Maszyna do czesania lnu, używana wyłącznie w fabryce Żyrardowskiej; maszyna ta wprowadzoną została do Anglii przez p. Ewans, do Francyi zaś przez rodzinę wynalazcy.

3cio. Maszyna do wyrabiania osad, druga zaś do wiercenia luf do broni palnej.

4to. Chrono-termometr zdobiący dotąd fasadę Banku Polskiego, do wskazywania w każdej chwili temperatury każdej z 24 upłynionych godzin, i meteorograf (przyrząd do oznaczenia zmian powietrza). Obadwa te wynalazki zaszczycone zostały pochlebnym raportem akademii Petersburgskiej, oraz pierścieniem brylantowym, udzielonym wynalazcy przez Najjaśniejszego Pana; wreszcie

5to. Tremellophon (przyrząd posługujący do podnoszenia lub zniżania dowolnego tonów fortepianu) takoż zaszczycony przez N. Cesarza darem bogatego pierścienia.

Naglony listami krewnych i przyjaciół czyniącemi mu nadzieję pozyskania nagrody narodowej, przyrzeczonej w dekrecie Cesarza Napoleona za wynalezienie przędzalni mechanicznej, Żyrar po uzyskaniu od Rady Administracyjnej Królestwa urlopu sześcio-miesięcznego z pensyą, wyjechał do Francyi w pierwszych dniach kwietnia 1844 r. Przybywszy w towarzystwie swej synowicy i jej córki do Paryża, po 30tu latach pobytu na obcej ziemi, znalazł się prawie obcym we własnej ojczyznie i byłby zapewne powrócił chętnie do Polski, gdyby go nie zatrzymywała w Paryżu owa wielka nadzieja, która go w tak późnym wieku doń powołała. Było to właśnie w czasie otwarcia wystawy przemysłowej, zapełnionej w znacznej części jego wynalazkami; z pomiędzy przedmiotów budzących w widzach największą ciekawość był *Tremellophon*, którego gra nieporównanego Liszta fortepianisty odkrywała wszystkie zalety. Było to dla Żyrarda, mówi pan Rampol w swem sprawozdaniu, chwila

prawdziwego tryumfu. Jak tylko wszedł na salę, wszyscy go sobie ukazywali nawzajem i odkrywali przed nim głowy z uszanowaniem. Wystawcy pragnąc go uczcić, wybrali go na prezesa bankietu; przysięgli wreszcie wystawy przyznali mu medal złoty.

Wobec tak powszechnego uznania nie wątpił Żyrar o pomyślnym skutku swej reklamacyi zaniesionej do izb i króla; nie pragnął on go tyle dla siebie, ile dla zapewnienia przyszłości ubogiej swej familii. Ale i tym razem jeszcze nadzieje jego zawiedzionemi zostały; wniosek bowiem w tej mierze uczyniony przez ministerium upadł z powodu tak zwanej *kwestyi oszczędności*.. Wtedy to przemysł prywatny, obruszony wyrządzoną Żyrardowi niesprawiewiedliwością, tem więcej, iż ten z powodu owych zachodów zniewolony był wziąć uwolnienie od obowiązków w Banku Polskim pełnionych, uczynił dlań to, czego reprezentanci narodu uczynić nie chcieli; wyznaczył mu bowiem 6,000 franków rocznej pensyi do śmierci. Ale na nieszczęście doznany bolesny zawód tak mocno wzruszył osłabionego na siłach starca, iż ten w roku zaraz następnym dnia 26 sierpnia dokonał pracowitego żywota, w wieku lat 70.

Dopiero, jak to zwykle bywa, kiedy już grób pokrył zimne zwłoki znakomitego wynalazcy, od jednego do drugiego końca Francyi podniósł się głos powszechnego żalu i uwielbienia. Miasto Amiens nadało nazwisko Filipa Żyrarda jednej ze swych ulic, Larmarin gniazdo Żyrardów wzniosło wspaniałą statuę dla utrwalenia sławy swego dziecięcia, Lille zaś wzniosło pomnik ku uczczeniu przemysłu lnianego w departamencie *du Nord*. Wreszcie przegłosowanem zostało przez trzy wielkie ciała państwa prawo, przeznaczające bratu i synowicy Filipa Żyrarda pensyę dożywotnią pod tytułem nagrody narodowej—zbyt późna naprawa wyrządzonej krzywdy!

ŻYCIORYSY KMIECI.

III.

Jaśko Krzeptowski

góral, pogromca niedźwiedzi w Tatrach.

—

Dnia 17 lutego roku bieżącego, w Tatrach, w lasach dóbr Zakopańskich (w Galicyi), dziedzicznych p. Edwarda Homolacza, pokazał się wśród zimy między zasnieżonemi skałami północnych scian Tatrów, ogromej wielkości niedzwiedź. Przeznaczono dzień 17 lutego na tak rzadkie i osobliwe o tej porze łowy; zebrało się liczne grono myśliwców. Na szczycie jednej z niższych skał sterczących zpomiędzy lasów przy Kościeliskach, obrał sobie w dniu tym ów niedzwiedź legowisko, i ztamtąd zdawał się spoglądać na zbliżających się i okalających go strzelców. Po rozstawieniu się puszczony na trop pies góralski, wyruszył niedzwiedzia, który ustępując powoli, zwrócił się prosto ku stanowisku p. Edwarda Homolacza; lecz zimowy wicher tatrzański, zrywając się co chwila z właściwą sobie gwałtownością, zaniósł wiatr strzelców do zwierza, bo ten nagle zmienił kieruek i ruch, i w sążnistych susach wypadł na opodal stojącego Jaśka Krzeptowskiego. Spotkanie tak raptowne bynajmniej nie przeraziło wprawnego strzelca. Stał on nieruchomie przyparty do pnia smereka (swirka), i z zimną krwią pozwolił siebie niedźwiedziowi minąć, aby o kroków dziesięć z swej pojedynki kulą grzbiet mu strzaskać i jednym skokiem umknąć na smereka.

Raniony zwierz rycząc, wrócił się i począł szukać swego przeciwnika, lecz zgruchotana kość pacierzowa odjęła mu siła wdrapania się na drzewo. Omglony, ustępując przed głosami pogońców, stoczył się w parów zarosły gąszczem młodych smereczyn i zniknął z oczów. Jasiek co rychło zsunął się z drzewa, nabił strzelbę i uprzedzając biegnących ku niemu strzelców, wpadł w gęstwiny. Wkrótce potem rozległ się drugi strzał, a kula lichej pojedynki powaliła śmiertelnie niedźwiedzia w chwili, gdy ten ostatki sił zbierał, by rzucić się na swego prześladowcę.

Niedźwiedź ten zdziwił wszystkich ogromem swoim, miał bowiem 8 stóp długości i po zupełnym wytrzewieniu ważył trzy centnary i 18 funtów wiedeńskich. Przywieziono go do Krakowa, gdzie oglądano strasznego zwierza z wielkiem podziwieniem. Jest to dziesiąty niedźwiedź, co padł w Tatrach od ręki i pojedynki górala Jaśka Krzeptowskiego.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować. — Warszawa d. 2 (14) marca 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*